

Obywatel Tesco

1 lipca 2014

Ministerstwo Edukacji zapowiada, że szkoły mają promować „brytyjskie wartości”. Problem w tym, że nikt właściwie nie wie, co to znaczy. Nawet rodowici mieszkańcy Wysp.

Polityka, jak historia, lubi się powtarzać. Jednak współcześnie w tym konkretnym aspekcie bliżej jej do świata mody. Cykle, które odgrzewają stare pomysły i idee, pojawiają się sezonowo. Dziś na wybiegach i na ulicy modelki oraz trendsetterzy paradują w ubraniach z lat 1990. Nostalgia za muzyką grunge, serialem „Przyjaciele” albo „Beverly Hills 90210” skutkuje zalewem estetycznych koszmarów. Rząd zaś wraca do koncepcji wyartykułowanych w poprzedniej dekadzie, co budzi jeszcze większe przerażenie i konsternację. Polityka retro, odświeżona kilkoma współczesnymi szwami, skrojona na potrzeby dzisiejszego społeczeństwa, zabarwiona medialnymi strachami, jest szyta grubymi nićmi. I pruje się zaraz po opuszczeniu politycznego warsztatu.

Minister edukacji Michael Gove ideologicznie napompowany wątpliwą, ale medialnie nośną aferą „koń trojański” odkurzył stare pomysły byłego premiera Gordona Browna i zapowiedział, że szkoły będą musiały promować „brytyjskie wartości”. Bo według medialnych doniesień pojawiających się głównie w konserwatywnych gazetach placówki edukacyjne w miejscach, w których skupiają się muzułmańskie mniejszości, „nie chronią uczniów przed zagrożeniami radykalizmu i ekstremizmu”. Gove dostał wsparcie premiera Davida Camerona, który stwierdził, że Brytyjczycy powinni być jeszcze „bardziej brytyjscy”. Cykl się dopełnił. Również jeśli chodzi o ironiczną reakcję brytyjskiej ulicy. Tak jak wyśmiany został wcześniej Gordon Brown, tak dziś pojawiły się kpiny z rządu torysów. Nie przeszkadza to jednak Partii Konserwatywnej i części mediów brnąć dalej w absurdalną ślepą uliczkę „brytyjskości”.

THE GREAT BRITISH FRANCE

Kampania promowania „brytyjskości” przypadkowo zbiegła się w czasie z przewidywanym, ale jednak przedwczesnym końcem kampanii angielskiej reprezentacji w piłce nożnej na mistrzostwach świata w Brazylii. Oprócz tradycyjnych konkluzji pojawiających się za każdym razem po odpadnięciu Anglików z wielkiej imprezy sportowej, mówiących o pechu, taktycznych błędach i zbyt dużej liczbie obcokrajowców kopiących balona ze skóry na boiskach Premier League, za jedną z przyczyn porażki uznano „brak tożsamości narodowej” drużyny Hodgsona. Zwłaszcza gdy porówna się reprezentację Anglii z niemal nacjonalistycznie nabuzowanymi Urugwajczykami. Ta „niepewność narodowa” piłkarzy interesująco współgra z niejednoznacznością tożsamości mieszkańców Wielkiej Brytanii. Czy dezorientacja narodowa wpływa na jakość kopania piłki, to kwestia wielce dyskusyjna, a właściwie kompletnie idiotyczna, jednak twierdzenia tego typu, wbrew pozorom wcale nieodosobnione, mówią coś więcej o stanie brytyjskiej psyche.

Niezdefiniowana, niejednoznaczna, rozmyta „brytyjskość” jest dzisiaj w cenie. Britain Got Talent. The Great British Menu. The Great British Summer. The Great British Sewing Bee. The Great British Bake Off. Wszystko, co ma w swojej nazwie „brytyjskość” albo mówi o brytyjskości, jak UKIP, osiąga natychmiastowy sukces. Satyrycy żartują, że jeśli ta tendencja się utrzyma, niedługo pojawi się pewnie jeszcze The Great British France. Przez wieki idea Wielkiej Brytanii sklecone z czterech różnych i odrębnych narodów, które nigdy się nie połączyły, była anomalią światową, ale nikomu to nie przeszkadzało. Miała nawet swoje plusy. Nieszablonowa konfiguracja kontrastująca z resztą świata pozwoliła Wyspom uniknąć nacjonalistycznych szaleństw dziejących się w kontynentalnej Europie w XX wieku. Teraz to się zmienia. Nie tylko z powodu coraz mocniej podkreślanej odrębności Szkotów i ewentualnego rozvodu Edynburga z Londynem oraz wyborczego sukcesu Partii Zjednoczonego Królestwa Farage’a. Masowa

emigracja do Wielkiej Brytanii, kryzys, obniżenie standardów życia, a przede wszystkim racjonalne poczucie zagrożenia i pogorszenia warunków bytowych powodują, że Brytyjczycy, podobnie jak mieszkańcy innych europejskich krajów zmagających się z emigracją i kryzysem, uciekają w ukryty nacjonalizm.

SHOPPING AND SHAGGING

Ten miękki nacjonalizm i patriotyczny trend można zaobserwować w badaniach. Kiedy kilka lat temu premier Gordon Brown wpadł na pomysł sformułowania zespołu wartości określających, co to znaczy być Brytyjczykiem. Społeczeństwo odpowiedziało szyderstwem. Wśród propozycji „brytyjskiego motta” nadesłanych przez czytelników do „Timesa” pojawiły się hasła takie, jak: „Żadnych haseł, proszę, jesteśmy Brytyjczykami”, „Przepraszamy za kłopot” czy „Dipso [pijak], Fatso [grubas], Abso [człowiek antyspołeczny], Tesco”. Wyniki krótko skwitował profesor Bogdanor z Oxfordu: – Wielka Brytania nie miała swojego początku, była czymś, co się po prostu zdarzyło. Nie trzeba było się nad tym zastanawiać i nikt tego nie robił – powiedział w wywiadzie dla „New York Timesa”. Podobne głosy pojawiły się teraz, ale żarty spychane są na bok. Być może dlatego, że rząd dość szybko odpowiedział na wezwania do doprecyzowania owych nieokreślonych „brytyjskich wartości”.

Minister edukacji stwierdził, że chodzi o „demokrację, rządy prawa, wolność osobistą oraz wzajemny szacunek i tolerancję dla ludzi innej wiary i przekonań”. Można żartować, że w takim razie Brytyjczykami są również Hiszpanie, Holendrzy, Niemcy, Grecy, a nawet niektórzy Polacy, zwłaszcza gdyby przymknąć oko na kwestie tolerancji i rządów prawa. Rację ma jednak felietonista „Financial Timesa” Janan Ganesh, który napisał, że „wartości narodowe nie muszą być unikalne. Chodzi o to, aby stworzyć wspólnotę i łączyć społeczeństwo, a nie definiować je poprzez opozycję do innych”. W końcu jedyną prawdziwą i unikalną formą narodowej tożsamości jest tożsamość etniczna, a to w przypadku Wielkiej Brytanii, gdzie 13,1 proc. populacji stanowią osoby pochodzące spoza Zjednoczonego Królestwa, 6,2

proc. emigrantów pochodzi z Azji Południowej (Indie, Pakistan, Bangladesz), 3,5 proc. z Afryki i Karaibów, a 1,1 proc. z Azji Wschodniej, jest w praktyce niemożliwe.

Problem jednak w tym, że większość Brytyjczyków nie podziela w tej kwestii zdania Gove'a ani Browna. Według ostatnich badań The British Social Attitudes 77 proc. mieszkańców Wysp uważa, że aby być uznanym za Brytyjczyka, należy mieszkać w Zjednoczonym Królestwie „całe swoje życie”, a ponad połowa (51 proc.), że należy mieć również brytyjskich przodków. Społeczeństwo sugeruje więc, że mimo wyznawania wartości demokracji, tolerancji i wolności osobistych wciąż można być kwalifikowanym jako nie-Brytyjczyk. Oznacza to też, że brytyjskim elitom nie udało się jak dotąd wytworzyć „zdrowego nacjonalizmu” opartego na liberalnych wartościach, za to do drzwi coraz głośniej dobija się ksenofobia. Dla torysów, którzy coraz śміalej poczynają sobie na tym polu, to dobra wiadomość. Zwłaszcza w kwestii szkół. Bo społeczne przyzwolenie, a także szerokie pole interpretacji „brytyjskich wartości” pozwolą Ministerstwu Edukacji zamykać szkoły i zwalniać dyrektorów na podstawie osobistych poglądów urzędników. Rzecznik Muzułmańskiej

Rady Wielkiej Brytanii Talha Ahmad obawia się, że nowe przepisy mogą dyskryminować wyznawców islamu. „Ludzie mogą mieć różne poglądy, także kształtowane przez wiarę. Czy oznacza to, że minister powinien mieć uprawnienia, by arbitralnie je oceniać i wykluczać z naszego systemu edukacji? Pomysł, by dać mu prawo do decydowania, które przekonania podkopują brytyjskie wartości, wydaje się drakoński”. Ale w całej tej aferze chodzi właśnie o to, żeby zmniejszyć liczbę muzułmanów chętnych do tworzenia i prowadzenia placówek oświatowych.

Autor: Radosław Zapałowski

Źródło: [eLondyn](#)